ILUSTROWANY
GŁOS NARODU

z dnia 2. Sierpnia 1902 r.

ALEKSANDER DUMAS.

TYSIĄC I JEDEN WIDZIADEŁ.

II.

Spoliczkowanie Karoliny Corday.

Przy obiedzie rozmowa toczyła się oczywiście o dzisiejszem zabójstwie i nadzwyczajnych okolicznościach, jakie mu towarzyszyły. — Doktor nie przywiązywał najmniejszej wagi do zeznań nieszczęśliwego górnika, uważając je za wybryk jego wyobraźni.

— Pan więc nie wierzysz w to, panie doktorze, by głowa ucięta mogła mieć jeszcze kilka chwil czucia i świadomości — spytał pan Ledru, z lekkim odcieniem ironji.

— Oczywiście, że nie wierzę odparł — doktor — czyż może być mowa o świadomości i czuciu, tam gdzie organa czucia zostały zabite, jak się to dzieje przy ucięciu głowy?

— A przecież głównem siedliskiem czucia jest mózg; póki więc on nie jest uszkodzony, czucie i świadomość trwać mogą chwil kilka po śmierci, zwłaszcza jeśli powstrzymano upływ krwi, jak się to stało w tym wypadku, przez położenie uciętej głowy na sproszkowanym gipsie.

— Niema na to dowodów naukowych — przerwał doktor.

— Dowodów nie brak w pismach starożytnych uczonych. — Haller n. p. pisze w książce swej o elementach fizyki. — „Ucięta głowa otworzyła oczy i spojrzała na mnie gniewnie, za to, żem za mocno pocisnął palcem rdzeń pacierzowy na jej szyji“.

— Haller mógł się pomylić.

— Być może. — Obaczmy zatem co pisze Somering.

„Widziano nieraz jak ucięte głowy zgrzytały zębami z bolu. Ja zaś osobiście przekonany jestem, że gdyby powietrze krążyć mogło w organach mowy, głowy te przemówiłyby“.

— Otóż — ciągnął dalej pan Ledru, potwierdzić mogę w zupełności przypuszczenie Someringa, gdyż ucięta głowa przemówiła do mnie. — Mówiąc te słowa pan Ledru silnie pobladał; dreszcz przebiegł po wszystkich obecnych i blada dama uniosła się lekko z siedzenia.

— Opowiedz nam to, panie Ledru — poprosił jeden z gości.

— Opowiadanie to zbyt jest dla mnie bolesnem; ale przypomnę wam fakt inny, powszechnie znany i zapisany w historji — a jest nim egzekucja Szarloty Corday.

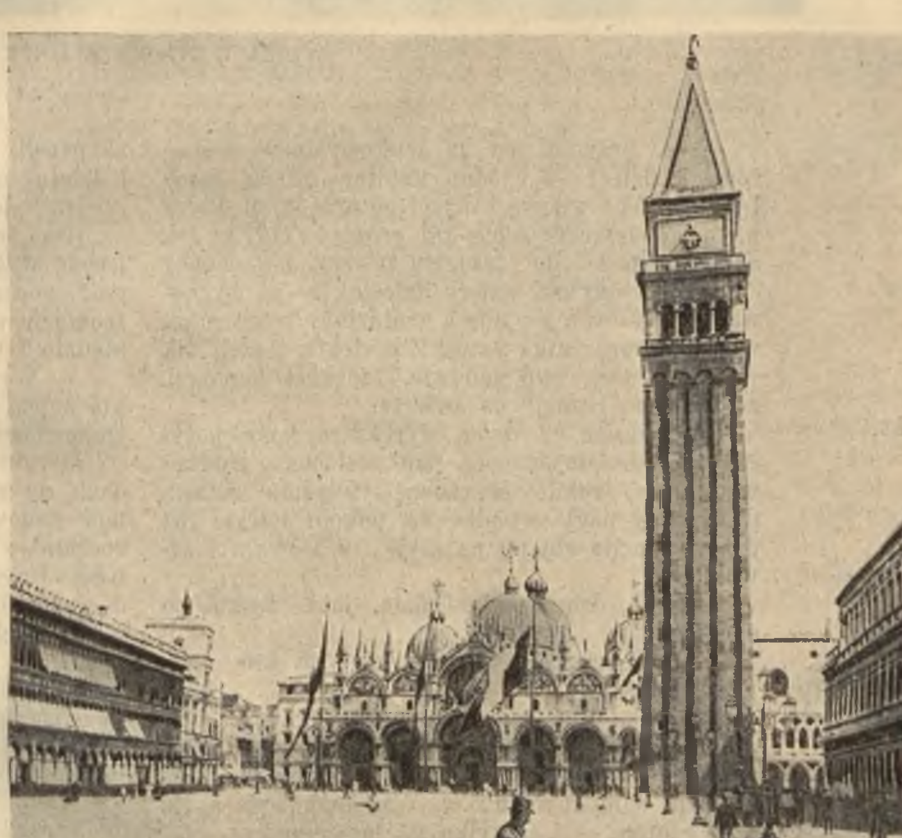
Pan Ledru zatrzymał się chwilę, jakby zbierając wspomnienia, potem zaś mówić zaczął co następuje.

— Byłem wtedy młodym człowiekiem, biorącym żywy udział w wypadkach ówczesnych; a że łączyły mnie z Maratem osobiste nawet stosunki, otrzymałem bez trudności pozwolenie asystowania przy śmierci jego zabójczyni. — Od drugiej godziny po południu stałem przy posągu wolności, oczekując na przybycie skazanej Był to gorący dzień lipcowy; słońce paliło nielitościwie, powietrze ciężkie i duszne zapowiadało bliską burzę. — O godzinie czwartej poczęło się błyskać i burza wybuchnęła w całej swej sile; w tej chwili właśnie Szarlota Corday wstąpiła na wózek skazanych. Młody malarz, który ją portretował w więzieniu, miał zaledwo czas naszkicować zlekka jej głowę, a w chwili gdy doszedł do szyji, którą za chwilę miał przeciąć nóż gilotyny, porwano ją z więzienia i powleczono na plac stracenia. — Deszcz ulewny lunął z piorunami i grzmotami, uderzającemi co chwila; nie odstraszyło to jednak bynajmniej żądnej widowiska gawiedzi, która zaległa gęsto wszystkie place, ulice, i przejścia, na drodze i w sąsiedztwie rusztowania.

Dzikie kobiety biegły tłumnie za wózkiem skazanej, rycząc i miotając przekleństwa. — Z wywyższonego miejsca, na którem stałem, ujrzałem z daleka ten dziwny pochód; mały wózek wynurzający się z pośród morza głów ludzkich i stojącą na nim młodą dziewczynę, przyodzianą w długą czerwoną koszulę. Pierwszy raz widziałem wtedy Szarlotę Corday. — Była to szlachetna głowa o wspaniałych, wymownych oczach przepysznej linji nosą i doskonale regularnych ustach.

Stała na wózku wyprostowana, z głową w tył przechyloną; nie była to z jej strony chęć górowania nad tłumem, ale do postawy tej zmuszały ją ręce silnie skrępowane na plecach więzami. — W chwili, gdy dojeżdżała do rusztowania deszcz ustał a promień słońca, padając na głowę skazanej, otoczył głowę tę rodzajem złocistej aureoli; — czerwona koszula, zmoczona od deszczu przylegla jej do ciała, drapując ją, rzekłbyś, w rodzaj purpurowej tuniki; i przysięgam wam, uczułem wówczas wyraźnie, że wyrok śmierci, dokonany na tej dziewczynie, która jednak bądź co bądź popełniła morderstwo, zmienia się w pełną glorji apoteozę. — Ujrzawszy szafot, Szarlota zbladła widocznie; zapanowała jednak nad sobą, a zwróciwszy z uśmiechem głowę w stronę gilotyny, zstąpiła z wózka bez niczyjej pomocy i wchodzić zaczęła na stopnie rusztowania: przychodziło jej to widocznie z trudnością z powodu długiej, wlokącej się koszuli oraz rąk skrępowanych na plecach — przytem stopnie oślizgłe były od deszczu.

Kiedy kat zerwał jej z szyji chusteczkę osłaniającą jej ramiona, skazana zbladła po raz drugi; w tejże chwili jednak, jak gdyby chciała zadać kłam mimowolnemu objawowi słabości, wsunęła śmiałym ruchem głowę w ohydny otwór gilotyny, ostrze spadło na jej szyję a ucięta głowa potoczyła się po platformie. A teraz posłuchajcie mnie, ty doktorze i ty poeto, posłuchajcie wszyscy co się wówczas stało. — Pomocnik kata, niejaki Legros, uniesiony nikczemną chętką schlebienia panującemu podówczas motłochowi, pochwycił tę głowę za włosy, a uniósłszy ją w górę, wymierzył jej silny policzek. — Wtedy twarz skazanej zarumieniła się z oburzenia, zarumieniła się wyraźnie, nie z tej strony tylko, gdzie ją kat uderzył, ale na obu policzkach jednakowo. — Widocznie nie mogła znieść tej wyrządzonej sobie zniewagi niesprawiedliwej i nie objętej wyrokiem. — Cały lud widział i zrozumiał ten rumieniec i od razu stanął po stronie ofiary, domagając się wielkim krzykiem ukarania nikczemnego służalca. Nędznik ujęty został natychmiast i odprowadzony do więzienia.



WIEŻA WENECKA PRZED KATASTROFĄ.

Jak się to śpiewka składa?

Pytasz złota ty dziatwo,
Jak to śpiewka się składa?
Toć to łatwo, tak łatwo!
Samo w piersiach coś gada!
Samo w duszę naleci,
Samo w sercu narośnie,
Jak na błoniu pęk kwieci,
Jak murawa o wiośnie;
Samo w tobie zasiędzie,
Samo myśli rozmarzy,
Samo echem oprzędzie,
Samo zagra, zagwarzy;
Samo wzniesie do nieba,
Roje wspomnień poruszy...
Jeno... umieć potrzeba
Brać to z serca, to z duszy;
Jeno umieć w świat Boży
Czasem myślą pogonić,
A wnet śpiewka się złoży,
Zacznie w tobie coś dzwonić,
Na fujarce wygrywać,
Po skrzypicy ciąć smykiem
I tak w śpiewkę się zlewać.
Niby strumyk z strumykiem!
Tak się splatać w przędziwa,
Niby włókna, konopie,
Jak te kłosy we żniwa,
Powiązane na snopie;
Tak układać kobiercem
Niezabudek przy rzece...
Że ci brzęczy pod sercem,
By rój pszczeli w pasiece;
Tak się łączą w barć pszczelną
One echa chwytane,
Jakbyś właśnie na „Zielną“
Niósł wianuszki wiązane,
Chciał na ołtarz położyć
Przenajświęszej Dziecinie...
Nie trza śpiewki ci tworzyć,
Sama płynie a płynie!

Pytasz, złota ty dziatwo,
Jak to śpiewki się składa?
Toć tak łatwo, tak łatwo,
Jeno... czasem... łza spada!
Jeno czasem w źrenicy
Mokry całun się przemknie
I na piersiach-skrzypicy
Coś roztrzaśnie, coś jęknie!
Coś zatarga ci duszą,
Coś w głąb serca zaryje
I łzy prószą a prószą,
Śpiewka pije... a pije...
Aż u piersi wezbrana
Spłynie z drżących warg falą,
Lecąc nutą: oj dana!
Tam, gdzie serca się żalą!
Jeno czasem myślami,
Niby wietrzyk, kolebie,
Coś przemarzył ze łzami,
Czy dla innych, czy siebie;
Jeno czasem zaszumi,
Jak w tych gruszach nad miedzą...
Ale kto tam zrozumie!
Ludzie patrzą... nie wiedzą...
Dość, by śpiewka dzwoniła
Skoczną nutą od ucha!
Choćby w łzach się rodziła,
Nikt, skąd rodem? nie słucha;
Nikt, co tobie? nie spyta,
Co tam w piersiach ci wichrzy...
Jeno śpiewkę w lot chwyta,
Niby ziarnko do spichrzy;
Jak te kłoski z połanka,
Pełną garścią wyzbiera...
Więc brzmi śpiewka — kochanka,
Chociaż serce zamiera!
Płynie w duszy, by tratwą,
Własnych łez się nie zlęknie!
To tak łatwo! tak łatwo...
Czasem jeno... pierś pęknie! *El.*

Wakans w kasie oszczędności.

Ze szwedzkiego.

Kancelista Margelin był pięć lat buchalterem kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w miasteczku Ugglebo, a przez cały ten czas nie popełniono w tej instytucji najmniejszego nadużycia. Wprawdzie zginęła pewnego razu marka pocztowa i zwołano nadzwyczajne zebranie członków zarządu, debatując dwie godziny, czy należy pozwolić złodziejowi bezkarnie uciec do Ameryki, czy też należy oddać go w ręce sprawiedliwości, ale okazało się w końcu, że marka przylepiła się do łokcia dyrektora i — naturalnie posiedzenie natychmiast rozwiązano.

Mieszkańcom Ugglebo wydawało się dziwnem, że miejscowa kasa oszczędności przestała być podobną do innych instytucji pieniężnych w kraju. Żaden bowiem z urzędników nie uciekał z pieniędzmi do Ameryki, przyjaciele i krewni nie potrzebowali robić składek dla pokrycia niedoborów, a kilku dyrektorów zbankrutowało tylko dlatego, że nie wzięli samowolnie „pożyczki“ kasowej.

Aż pewnego dnia zmarł na suchoty buchalter Margelin, pozostawiając wdowę i pięcioro dzieci. Pensja jego wynosiła tylko 1500 koron (1000 koron pobierał jako kancelista, zaś 500 jako buchalter), można więc było śmiało spodziewać się większego braku w kasie, i kiedy zarządzono rewizję nadzwyczajną, starsze panie zaczęły oblizywać się na myśl oczekiwanego skandalu.

Komisja rewizyjna straciła dwa dni, nim przyszła do wniosku, że wszystko jest w zupełnym porządku.

— Ten człowiek rzeczywiście nie przywłaszczył sobie ani grosza — rzekł jeden z członków komisji, dymisjonowany kapitan, którego wybierano na rewizora, pomimo, że niezbyt był biegły w dodawaniu; ale za to był bardzo przyjemny jako partner do wista, po ukończonej oficjalnej części zebrania.

— Istotnie, wszystko jest w porządku — wtrącił główny kontrolor — to wcale nie podług współczesnego zwyczaju.

— Margelin zawsze był ekscentryczny i nieprzyjemny... Żeby też zejść z tego świata bez najmniejszego nadużycia! Co za przebrzydła chęć pozowania, obliczona na efekt! westchnął dyrektor.

— Więc to jest siostra mej nieodżałowanej Gustawy! Ach, kochana pani Kryddelin, właśnie w tych dniach upływa 38 lat od czasu, jak podróżowałam po jeziorze Wettern z nieboszczką siostrą pani, i wtedy zawiązała się pomiędzy nami ogromna przyjaźń. Nie żyje już biedaczka, ale Boże Wielki, jakże mi ją pani przypomina! Prawda, pani nie wie, jak się nazywam — jestem Beata Lundqvist z domu Pilqvist. Tęskniłam za panią przez 38 lat aż wreszcie wyczytałam w gazetach, że wasz buchalter umarł, a ponieważ mam bratanka, młodzieńca pardzo przykładnego, będącego chwilowo bez zajęcia, przyszło mi na myśl że przy protekcji pani, mógłby to miejsce objąć. Niech pani sobie wyobrazi. wczoraj w nocy śniło mi się, że nieodżałowanej pamięci Gucia, siostra pani stanęła nademną i wskazała palcem w stronę Ugglebo, mówiąc: „Beato, udaj się do Kryddelinów, do Ugglebo, tam znajdzie twój bratanek kawał chleba“. Czy to nie szczególne, kochana pani Kryddelin? Ach mam nadzieję...

(Drzwi znowu się otwierają i wchodzi ładna, 19-letnia panienka, z rumieńcami na twarzy).

Szanowna pani, proszę mi wybaczyć, ale coś mi szeptało, że winnam zwrócić się do niej! Mój narzeczony, wyczytawszy w gazetach o śmierci pana Margelina, przytulił mię mocno do piersi i rzekł: „Andziu gdybym mógł otrzymać te 500 koron, które płacą buchalterowi i połączyć z tem, co mam obecnie, moglibyśmy wkrótce pobrać się“. Ach, złota, zacna pani Kryddelin, nieboszczka matka moja była koleżanką



WIEŻA WENECKA W GRUZACH.

— A przytem co za lekkomyślność wobec żony i dzieci — dodał kapitan. Któż teraz będzie dbał o wdowę i dzieci po urzędniku, który nie przywłaszczył sobie ani grosza! Gdyby tak skręcił dziesięć do piętnastu tysięcy, napewnoby domy dobroczynne wzięły dzieciaków na wychowanie, a wdowa z miejsca znalazłaby sobie męża w osobie porucznika Armji Zbawienia. Jeżeli tak potrwa dłużej, moi panowie, ludzkość zapomni, że Ugglebo istnieje na świecie.

Tymczasem w domu dyrektora kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, pani małżonka, siedząc w salonie, robiła pończochę Właśnie zaczęła piętę, gdy nagle wpadła do pokoju starsza już dama, rzuciła się jej na szyję, ucałowała i zawołała:

— Ach, droga moja Emmo, jakże tęskniłam za tobą!

— Przepraszam, ale nie wiem, z kim mam przyjemność...

— Ach, Emmo, czy nie przypominasz sobie Julji Peterson, tak, teraz nazywam się naturalnie Strömbon; wyszłam za mąż. Tańczyłyśmy obie na tym samym balu, w Wadstenie, vis à vis kontredansa — i to tylko 27 lat temu!

— Wybacz mi, droga Juljo, ale chyba nie spotkałybyśmy się już potem ani razu i...

— Nie istotnie, ale nie mogłam cię nigdy zapomnieć. A teraz musisz mi moja Emmo, oddać wielką przysługę. Mąż twój jest wszak dyrektorem kasy oszczędności i od niego zależy posada buchaltera, obecnie wakująca. Mój syn nie ma prawie z czego żyć... Och, Emmo nie druzgocz mego serca macierzyńskiego...

(Słychać kroki za drzwiami, szelest jedwabnej sukni, która we drzwiach zaczepia o gwóźdź rozdziera się — wchodzi otyła dama o czerwonym nosie, mająca lat około 60).

na pensji, a mój narzeczony jest taki dobry i dzielny człowiek — od pani zależy teraz nasze szczęście... o droga pa...

(Na schodach słychać czyjeś kroki i kikanaście wykrzykników: „Szanowny panie dyrektorze“, poczem słychać głos pana Krydelina: Uspokójcie sie, moi panowie!“ Pani Kryddelinowa blednie i powstaje z kanapy.)

— Wybaczcie, moje panie, ale to pewnie jakiś napad na mego męża. Jak się jest na takiem stanowisku, ma się wielu nieprzyjaciół.

Dyrektor Kryddelin (przemawiając na schodach do 25-ciu młodzieńców): „Uspokójcie się, moi panowie! Pensja wynosi tylko 500 koron rocznie — obecnie nic jeszcze nie mogę decydować. Proszę złożyć w zarządzie prośby i świadectwa. Do widzenia!“

(Młodzieńcy odchodzą, zginając się w ukłonach).

W hotelu miasteczkowym wszystkie pokoje pozajmowane przez młodzieńców, poszukujących miejsca buchaltera, jak również przez troskliwe matki, które sobie przypomniały, że znają panią Kryddelin z czasów panieńskich.

Zarząd kolei — Ugglebo — Skatebo — był zmuszony zatelegrafować do Sztokholmu po więcej wagonów dla utrzymania prawidłowej komunikacji.

Fryzjer miejscowy dostaje ataku nerwowego i umiera z wycieńczenia, spowodowanego goleniem i fryzowaniem wszystkich tych, którzy mają zamiar złożyć wizytę państwu Kryddelin.

Kuchnia hotelowa szwankuje.

Powagi miejskie w takiej liczbie zebrały się w kawiarni hotelowej, w celu narady nad posadą buchaltera, że zabrakło kieliszków i wielu z nich pije koniak w filiżankach i kufłach od piwa.

Z Londynu nadchodzi następująca depesza:

„Nie obsadzajcie tymczasem wakującego miejsca buchaltera. Po chrześcijańsku usposobiony, świeżo ochrzczony, młodzieniec z kraju Zulów, pragnie poznać system monetarny w Szwecji. Skromnie ubrany, żywi się kotami, żyje tanio, zadowoli się 300 koronami rocznie. *Andersson*".

Zarząd kasy pożyczkowo-oszczędnościowej na walnem zebraniu, odrzucił ofertę młodego Zula, albowiem kandydat, z powodu swej czarnej cery nie może występować z powodzeniem, jako urzędnik szwedzki w pośpiesznej podróży przez Atlantyk.

Wreszcie przybywa do dyrektora Kryddelina znany filantrop, radca Jönsson.

— Dyrektor podobno potrzebuje nowego buchaltera?

— Tak. Czy radca ma kogo na widoku? Potrzebujemy młodzieńca, któryby miał dość doświadczenia życiowego i który zadowolniłby się małą pensją.

— Właśnie...

— Pensja bardzo mała, więc kandydat musi być przyzwyczajony do skromnego życia.

— Właśnie.

— To musi być człowiek skromny, nie żądny zabaw i uciech życiowych.

— W zupełności podzielam poglądy kochanego dyrektora. Znam właśnie takiego młodzieńca, który tylko potrzebuje łagodnego traktowania, by nie zniechęcić się do pracy.

— Przyjmuję go, polegając na rekomendacji kochanego radcy. Niech się zgłosi jutro...

— Kiedy... bo właściwie... nigdzie jeszcze nie wychodzi...

— Co za przykładny młodzieniec! W takim razie, od piątku może już objąć swe obowiązki. Gwarantuję za przeprowadzenie tej sprawy w zarządzie.

— Hm, widzi dyrektor, w piątek nie będzie mógł objąć posady.

— Dlaczego, czy ma jakie zajęcie?

— Hm, widzi kochany dyrektor, dopiero w maju wypuszczą go. Nasze prawa drakońskie są już tego rodzaju, a przytem głupia sprawa: trzecia kradzież z włamaniem. Ale zamek był bardzo słaby, panie Kryddelin, bardzo słaby zamek. A ja jestem członkiem Towarzystwa opieki nad wypuszczonymi więźniami.

— Ależ, panie radco, u nas wszystkie zamki są w najlepszym gatunku i w najlepszym porządku. Młodzieniec ten jest serdecznie oczekiwany po odsiedzeniu kary.

Morderstwo.

Surowe spojrzenie komisarza policji nie zachwiało równowagi zbrodniarza. Na jego wąskich ustach igrał uporczywie uśmiech zadowolenia i tryumfu, a małe oczy mrugały przyjemnie. Wątłą pierś starał się naprzód wystawiać a wychudzonemi palcami wybębniał jakiegoś walca na krysach swego kapelusza...

Urzędnik stał się jeszcze więcej surowym wobec tego wyzywającego zachowania się i ciągnął dalej swoją indagację:

— Nazywasz się pan Alfred Lebouchard, masz lat pięćdziesiąt cztery, byłeś już karany za oszustwo. Schwytano cię, pochylonego nad zwłokami pana Franchona w chwili, kiedy je chciałeś zapewne obedrzeć!... Popełniłeś morderstwo w celu z góry uplanowanej prawdopodobnie kradzieży. Sprawa twoja jest jasną!...

— Mój Boże, tak, panie! — potwierdził Lebouchard bez namysłu. Zamordowałem tego szlachetnego obywatela... powiem nawet, że wcale tego nie żałuję!...

Słowa te wypowiedziane zostały spokojnie i takim tonem, że można było przypuszczać u zbrodniarza pomięszanie zmysłów. Lebouchard odgadł myśl urzędnika i mówił dalej:



LOGGIETTA SANSOVINA

— Nie jestem warjatem, panie!... Z zimną zupełnie krwią zabiłem czcigodnego pana Franchona!... Zapewniam pana jednak, że nie zrobiłem tego w celu kradzieży, agenci zaś dlatego widzieli mnie pochylonego nad zwłokami, że chciałem się upewnić o śmierci!... W przeciwnym razie, byłbym go dobił, może pan być pewny!... Od dziesięciu już lat męczyłem się, żyjąc tylko nadzieją spełnienia tego... co spełniłem dzisiaj!.. Znosiłem wszystko: nędzę, głód, upokorzenia, żeby tylko doczekać się tej błogosławionej chwili, w której zatopiłem nóż w sercu tego człowieka.

— A więc chciałeś się pan zemścić na Franchonie?

— Tak, panie!... Ale to cała historja, i nieśmiałbym...

— ...Nadużywać mojej cierpliwości? BrońBoże!... Opowiadaj, kochany panie, zaciekawiasz mnie bardzo...

Ta podstępna grzeczność komisarza policji zgorszyła dwóch dozorców więźnia; Lebouchard zaś ukłonił się zimno, jak prawdziwy gentleman:

— Skoro pana nie nudzę... Muszę jednak cofnąć się trochę w przeszłość... Będzie temu około lat trzydziestu; dwaj młodzi ludzie ukończyli prawa... Byli to przyjaciele od dzieciństwa, złączeni wspólnemi upodobaniami, silniej może jak bracia sjamscy. Orestes i Pylades! Castor i Pollux!... Lebouchard i Franchon, kiedy już trzeba wymienić ich nazwiska! Tak, panie, jak mnie pan widzi — dziwi to pana, jestem przekonany! byłem nierozłącznym przyjacielem mojej ofiary!

I pomyśl pan, jak to dobrze się składa: rusztowanie połączy nas jeszcze!... Zaczęliśmy i skończymy prawie równocześnie!... To wruszające!...

W owym czasie, świetne niegdyś interesa mojej rodziny zaczęły szwankować... Musiałem się wyrzec moich projektów o sławie, mojej praktyki adwokackiej, ażeby pomagać ojcu w podtrzymaniu jego domu handlowego, chylącego się już do upadku. Było to o tyle przykrzejszem dla mnie, że miałem narzeczoną, którą uwielbiałem, a której musiałem zwrócić słowo, nie chcąc jej narażać na niepewną dolę... Franchon, przed którym świetna otwierała się przyszłość, Franchon, którego sam przedstawiłem rodzicom Julji, Franchon — widzę, że pan odgadłeś — Franchon stanął z nią, zamiast mnie, na ślubnym kobiercu!.., Dotknęło mnie to boleśnie, ale zanadto kochałem tego potwora, żebym mógł nie usprawiedliwić jego postępku!... Ona była wolną, on także; to więc, co się stało było zupełnie naturalne! Chociaż... zdaje mi się, że ja nie zrobiłbym tego!... Naturalnie, rozluźniły się nasze stosunki, chociaż nie pogniewaliśmy się, bo o cóż mieliśmy się pogniewać. Krótko mówiąc, przestaliśmy się prawie zupełnie widywać; kiedy w kilka lat później zaplątałem się w proces, którego przegranie narażało mnie na utratę resztek, marnych resztek mojej egzystencji. — Franchon był adwokatem mego przeciwnika!.. Dzięki jego prawdziwym zdolnościom, przegrałem sprawę i znalazłem się na bruku!...

Straciłem ojca i sam, zrujnowany, zostałem na świecie!... Co potem robiłem, nie potrafiłbym panu dokładnie opowiedzieć. Imałem się wszystkiego, bez żadnego powodzenia, spadając coraz niżej...

W sprawie pewnej pożyczki — to szczyt! — oskarżono mnie o lichwę, mnie, co żyć z czego nie miałem i dostałem się do policji poprawczej! Skazano mnie na sześć miesięcy, chociaż byłem zupełnie niewinny, przysięgam panu.. i to dla tego, że oskarżenie wnosił nikczemnik, znający moją sprawę na wylot!... Ach pies!... Nie oszczędzał mnie wcale!

I któż to był? panie komisarzu. Franchon, on sam, tak, panie, Franchon zamianowany właśnie zastępcą prokuratora!...

Kiedy wyszedłem z więzienia, byłem już do niczego i stałem się wagabundą, jakiego pan widzi przed sobą!... Odzyskać dobrą sławę? Znam te wszystkie deklamacje na ten temat!... To blaga, blaga w całem tego słowa znaczeniu! Jeżeli ci raz tę dobrą sławę zabazgrano w sądzie, to zewsząd pędzić cię będą jak psa parszywego, i aby żyć, jedyna pozostanie ci ucieczka — rękę wyciągnąć!...

Żebrałem, i pewnego dnia nawet pod kościołem, prosiłem o jałmużnę mojego starego przyjaciela Franchona! Przechodził ze swoją żoną, z żoną zawsze jeszcze ładną, pomimo, że sporo już upłynęło czasu. Zbladła, poznając mnie w takiej roli nikczemnej!

Wzruszenie jej nie uszło uwagi męża, który odtrącił mnie brutalnie, nic mi nie ofiarując. I oto nagle, kiedy się oddalali, zrozumiałem, dlaczego ten człowiek prześladował mnie tak swoją nienawiścią! Tak! swoją nienawiścią, nie cofam tego słowa!

Byłem tego pewny! On nie przypadkiem występował przeciwko mnie w procesie, który mnie



W PARKU Dra CHRAMCA W ZAKOPANEM.

zrujnował! I przez nienawiść znów domagał się najwyższej kary dla swego dawnego przyjaciela, o którego niewinności był przekonany! A teraz nienawiść straszna, nieubłagana, poniżająca, pochodziła stąd, że jego żona wówczas, kiedy go jeszcze nie znała, może mnie kochała!... I od tej chwili, w której zrozumiałem czarną psychologię tego nędznika, powziąłem niewzruszone postanowienie: zapłacić mu kiedyś za wszystkie nieszczęścia mego życia. I dziesięć lat czekałem! Przez dziesięć lat wiele razy chciałem umrzeć, mówiłem sobie: „Nie masz prawa jeszcze!" Przez dziesięc lat szukałem go po całem mieście i nie mogłem go spotkać.

Aż oto dzisiaj najniespodziewaniej wpadłem na niego! Oko w oko! I to jeszcze o zmroku w pustej ulicy! Bóg to sprawił! Chwyciłem go za kołnierz surduta i powiedziałem mu: „Mam cię nareszcie, mój stary przyjacielu! Jakże się cieszę, że cię widzę!" On, zdawało się, nie podzielał mojej radości i ręczę, że gdyby się był nawinął policjant, byłby mnie kazał aresztować.

Tak zbladł i tak się trząsł, że parsknąłem śmiechem.

Wreszcie usłyszawszy odgłos zbliżających się kroków, porwałem nóż, jak relikwię, przechowywany na tę długo oczekiwaną sposobność i zatopiłem go w sercu, w szlachetnem sercu pana Franchona...

Oto jest historja, którą miałem panu opowiedzieć!... Jeszcze jedno słowo: jeżeli kat dostanie mnie w swe ręce, to będzie się mógł pochwalić, że ściął głowę człowiekowi zupełnie szczęśliwemu!

...I Lebouchard, zawsze uśmiechnięty, ukłonił się znów komisarzowi komisji, który... opuścił głowę na ręce... i zamyślił się...

PRAŻNIK.

Tańczono właśnie kadryla w pięknej sali „Curhausu".

— Mesiezedam. Anawan, anarier! — ryczał tubalnym głosem wodzirej, ocierając ustawicznie spocony kark.

Ponieważ należałem do rzędu tych, którzy przenoszą obserwację tego widowiska nad czynny w niem udział, stanąłem na schodkach do jadalnych sal i z ciekawością śledziłem te krwawe zapasy urody z brzydotą, zapału z niechęcią, blichtru z szczerością, dzieląc się spostrzeżeniami z dwoma mymi towarzyszami.

— Nie tańczycie? chwała Bogu! — wpada na nas Karolek — uf!... a to mię zmęczyły!

Po tym wstępie nastąpiło opowiadanie chaotyczne, z którego z trudem wyrozumieliśmy, że go jakiś członek komitetu przedstawił trzem siostrom z mamą, z których jedna była tynkowana i plastrami oblepiona jak najdumniejsza uczestniczka krakowskich festynów „konfetti", druga miała oczy tak ustawione, że chcąc mu prosto w twarz spojrzeć musiała jednem okiem ucho mu obserwować, trzecia zaś wymawiała tylko pół alfabetu, a od mamy dziegciem, wyraźnie dziegciem zalatywało.

— Wiecie co? mam oto myśl! — rzecze nagle Karolek — ciśnijmy o sosnę ten bal i jedźcie zemną na prażnik!

— Jakto! teraz? teraz? — zawołaliśmy chórem.

— Juści! mam upoważnienie zabrania z balu kogo zechcę a popadia [1]) prosiła koniecznie o tęgich chłopców!

Za chwilę siedzieliśmy we czwórkę w dorożce, która nas wywiozła za rogatki a po godzinnej jeździe weszliśmy do sali o niskiej powale i lakierowanej podłodze, w której po kątach leżały resztki roztartych świec.

Kurz w powietrzu był taki, że co chwilę porcję lemieszki [2]) połykać trzeba było a dokoła na długich chustami przykrytych ławkach siedziały, do upiorów raczej niż do ludzi podobne danserki.

Po oficjalnem przedstawieniu nas popadji szepnął nam Karolek, żeby zaraz tańczyć i to z werwą gdyż inaczej nie zdołamy zatrzeć złego wrażenia, jakie zbyt późnem przybyciem wywołaliśmy.

Czułem, żeśmy jakieś kapitalne głupstwo strzelili i podczas gdym naciągał rękawiczki, uporczywie powracało mi pytanie: na jakim szczeblu towarzyskiej znajomości form mam otoczenie moje umieścić. Doszedłem do wniosku, że tutaj główną zaletą musi być męzka siła i werwa w tańcu. Porwałem tedy najtłustszą popadiankę, którą Karolek pożerał wzrokiem zgłodniałego antropofaga i przypomniawszy sobie czasy złotów sokolich i ćwiczeń maczugami, wytężyłem wszystkie siły, aby wyprodukować jak najwięcej prężności odśrodkowej, ufny że gdy się ona mej tancerce udzieli, zyskam sobie jej wdzięczność i uznanie. Jakież było moje zdziwienie kiedy odprowadzona na miejsce z oburzeniem zapytała:

— Szczosz wy mnoju jak pomytłom krutyły?!

Więcej z jej gestów jak ze słów wyrozumiałem, że źle oceniłem smak i gusta miejscowe i stanąłem strapiony pod piecem, dusząc się poprostu atmosferą, przepełnioną „antropiną“ jak się Karolek wyraża, gdy nagle wzrok mój się rozjaśnił. Spojrzałem przez „salon“ sąsiedni do trzeciego pokoju i ku mej radości dostrzegłem czarne postacie, pochylone nad stolikiem, a do uszu moich przedarły się poprzez tony arystona, który orkiestrę tu zastępował, enigmatyczne słowa: „viso“, „besser“, które mają swój nieprzeparty urok i które rozkoszniej mi do duszy przemawiają, jak cały Szopen przez Przybyszewskiego odegrany, lub ryby i raki z obrazów flamandzkich mistrzów. Wymknąłem się niepostrzeżenie i po chwili znalazłem się między dwoma popami a za każdym z nich siedziała żona, bacząc pilnie, by zadużo nie przegrali.

Guldeny, piątki i dziesiątki latały mi przed oczami jak jednodniówki na moście, a ponieważ mi karta nie szła, wyciągałem z kieszeni jedną po drugiej, mianując je w duszy to kapeluszem, którego już nie kupię, to butami, w których już chodzić nie będę, to wreszcie czynszem, obiadem i już miałem rzucić molochowi gry na pożarcie koszta powrotu i napitków, gdy nagle karta mi się odwróciła! Dostałem „kunst“ [3]), jeden z popów „wózek“ [4]) i powstał taki zapał, że popi już wraz z żonami składali się, byle„ dotrzymać“. Oczywiście zagarnąłem monetę, z czego taki powstał popłoch, że ledwie z życiem i monetą uciekłem na podwórze, gdzie Karolek pod ścianą wozowni już w najlepsze z moim „pomysłem“ romansował. Wyrwałem go z tego słodkiego tête à tête kategorycznem oświadczeniem, że natychmiast wracam do domu, wskoczyłem do czekającej dorożki, co widząc Karolek, wymienił z popadianką czułe pożegnanie, a zdaje mi się i adresy i szybko wyjechaliśmy, żegnani przez okna wykrzyknikami, mającemi mniej wspólnego z miłością bliźniego, niż z gwarą Wicka Socjalika.

Dwaj nasi towarzysze „na piechtę“ nas dobiegli i tak wróciliśmy z tego prażnika, po którym towarzysze moi obliczyli swe korzyści moralne, a ja zaś ruskie piątki i dziesiątki, szczerze uradowany, że i kapelusz i buty i obiad i czynsz i „inne rzeczy, które jego są“, powróciły na łono mej sakiewski, wiodąc ze sobą nadwyżkę, jako brzęczącą pamiątkę prażnika i ferbelka w świętobliwej kompanji. *z. h.*

[1]) Żona ruskiego księdza. Prażnik jestto zabawa w jego domu. [2]) czyli prażucha, potrawa z greczanej mąki z wodą [3]) cztery karty jednej rangi, co więcej znaczy niż [4]) cztery karty jednej „maści“.

CO CZYTAĆ?

Szymon Askenazy. **Wczasy historyczne.** Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Prof. Szymon Askenazy należy do najzdolniejszych przedstawicieli młodszego pokolenia historyków naszych. W pracach swoich nie poprzestaje on na wyłącznem zwracaniu uwagi na naukową ich stronę, ale stara się też uczynić je barwnemi i zajmującemi. Stąd niezmierna dbałość o formę literacką i w rezultacie wykończenie, które można śmiało zupełnie nazwać artystycznem.

Specjalnością prof. Askenazego są czasy saskie. Tę ostatnią epokę dziejów naszych umiłował najbardziej, poznał najlepiej i do niej też zwraca się najchętniej po tematy do swoich rozpraw historycznych. A pisząc, nie przeładowywuje stronnic swych książek balastem drobnostkowych szczegółów, nie rozprasza na nie uwagi czytelnika, lecz przedewszystkiem ogląda się za rzeczami najbardziej charakterystycznemi, aby spleść z nich, ile możności żywy wizerunek czasu i ludzi.

Ostatniej swojej książce, która zajmuje nas obecnie, prof. Askenazy dał tytuł „Wczasów historycznych“. Z góry więc możemy już wiedzieć, że będą to rzeczy ulotne, drobne szkice, fragmenty, pisane w chwilach wytchnienia od tej pracy, którą historyk uważa za główne swoje zadanie. Sam o nich powiada we wstępie, że powstały raptownie, pod wpływem nastręczonych pobudek zewnętrznych, bardzo rozmaitych. Ale, mówi dalej, przypuszczając, że książka „wymaga być może pewnego usprawiedliwienia“ — powstały pod jednym wewnętrznym kątem widzenia. Powstały z jednego wspólnego poglądu na naukę dziejową i interes publiczny. Miały swego czasu zosobna, teraz mają pospołu, na swój sposób przyłożyć się do zbudzenia rzeczywistego, rozumnego zajęcia dla spraw historyczno-politycznych doby nowożytnej i to w najobszerniejszym zakresie. A więc w zakresie polsko-europejskim. Stoją tutaj nasamprzód, oczywiście, na pierwszym planie sprawy czysto polskie. Zaś w organicznym z niemi związku wynurzają się następnie europejskie. Czy będzie szło o francuskiego pretendenta, czy o angielskiego męża stanu, o rosyjskiego profesora, czy o niemieckiego powieściopisarza, byle tylko dobrze się rozejrzeć, wszędy ujawnią się dotykalnie żywotne interesy i rachunki polskie. Świadomość tego organicznego związku należy utrzymać i rozwinąć. Należy pielęgnować i umacniać obszerne poczucie europejskie na gruncie czysto polskim. Należy w ogólności na sposób wszechstronny i ścisły rozwijać i kształcić samowiedzę historyczno-polityczną w obrębie zjawisk nowożytności dziejowej. Do takiego celu obok uczonego szlaku, wolno pewnie i przystępniejszej sprobować drogi. Wolno czasem poprobować nie z ciężkiej erudycyjnej armaty, lecz lekkiej impresyjnej flinty. Koniec — końcem chodzi o to, aby trafić“.

W ten sposób prof. Askenazy sam określa zadanie i znaczenie swej książki. Trudno nie podpisać się z całem uznaniem na jego program... Wątku do rozmyślań podczas owych „Wczasów historycznych“ dostarczyła mu przeważnie współczesna literatura dziejopisarska. Podczas czytania książki nasuwają mu się na myśl spostrzeżenia, porównania, uwagi: — tu polemizuje z autorem, tam go uzupełnia w ten sposób powstaje szkic, nie recenzja, bo dzieło przeczytane daje mu przeważnie tylko impuls do zupełnie samodzielnej twórczej pracy, I raz po raz, w miarę jak przerzucamy kartki jego książki, powstają przed naszemi oczami obrazy najrozmaitszych epok, najrozmaitszych ludzi i ich czynnów. Z dworu Stanisława Augusta przenosimy się do — ambasady rosyjskiej w Londynie, aby tam przyjrzeć się z bliska intrygom, jakie w r. 1831 knuła przeciwko sprawie polskiej żona ówczesnego ambasadora rosyjskiego, chytra pani Lieven; wędrujemy po Europie z pułkiem szwoleżerów, który się tak chlubnie zapisał na krwawych kartkach epopei napoleońskiej; śledzimy losy Polski na posiedzeniach kongresu wiedeńskiego i. t. d.

Każdy szkic gdzieindziej nas prowadzi. Trudno w pobieżnej recenzji kusić się choćby o streszczenie książki o tak bogatej i różnorodnej treści. Ale na dwie rzeczy należy zwrócić uwagę. Są one bardziej może niż inne na czasie. Więc przedewszystkiem obszerna ocena działalności p. Spasowicza, w której prof. Askenazy wykazuje, jak znakomity prawnik-historyk literatury i publicysta potrafi nawet niewzruszone napozór fakta naukowe naginać do swej niefortunnej polityki i szkic p. t. „Niemcy o Polsce“. Ta rozprawka jest dziś w chwili najwyższego rozbestwienia hakatyzmu — szczególniej ciekawa. Uprzytomniamy sobie z niej jak niewiele czasu potrzeba, aby się uczucia i sądy ludzkie zmieniły. Dziś trudno uwierzyć poprostu, że był czas w którym „Werner, pruski dygnitarz kameralny w Płocku, w chwili gdy nad Warszawą rozlegał się grzmot armat oblężniczych pruskich, ostrzeliwających Wolę, pisał wspaniały swój poemat „Do narodu“, w którym w ognistych wzniosłych i prawdziwie natchnionych strofach przeciw własnemu królowi Fryderykowi Wilhelmowi II. dawał błogosławieństwo orężowi polskiemu. A Werner nie był wyjątkiem. Romantyzm młodoniemiecki tam już znalazł najpiękniejsze swoje akcenty. Składali hołd niedoli narodu polskiego Heine, Boerne, wytworzył się specjalny rodzaj poezji „Polenlyrik“ w osobie tak świetnych przedstawicieli jak Lenau, Hebel, Platen, Auersperg, Freiligrath i w. i. Dziś to minęło. Jaka jest teraźniejszość — mówi prof. Askenazy — wiemy. „Słyszymy codzień jej odgłosy z Berlina, oglądamy codzień jej dzieła w Poznańskiem... Ale dzisiejszy Berlin, dzisiejsze Prusy, nawet dzisiejsze prusko-niemieckie cesarstwo, to jeszcze nie Niemcy. Dzisiaj sieją tam wiatr i zbiorą też burzę. Ale ten posiew im należy zostawić“. Bo „dzieje wielkich i wiecznych kultur społecznych nie stoją nienawiścią. Wielkie narody jak Antygona klasyczna nie po to żyją „by nienawidzieć społem, lecz by kochać społem“. Dobrą i zdrową jest rzeczą przywieść sobie czasem na pamięć tę wielką i niespożytą prawdę, choćby w chwili najcięższych doświadczeń i najcięższej narzuconej walki. A wierzyć także potrzeba, że ta prawda nie jest niepowrotnie zatracona i dla Niemiec, dla prawdziwych Niemiec; że one do niej nawrócić będą musiały i że w tym nawrocie znajdą jedyny, właściwy wskaźnik dla stosunków polsko-niemieckich“.

Takie słowa podyktowały prof. Askenazemu doświadczenia przeszłości. Z umysłu przytoczyliśmy je w obszernejszem streszczeniu. — I żal doprawdy, że całej książki tak streścić nie można, tak jest warta czytania... *Kali.*

Nasze ilustracje. Straszna klęska, która nawiedziła Wenecję, rozległa się szerokiem echem po całym świecie. Katastrofa ta dotknęła jeden z najstarszych i najpiękniejszych zabytków sztuki włoskiej, mianowicie wieżę świętego Marka, Logiettę Sansovina i jedno skrzydło bibljoteki królewskiej.

Ryciny nasze przedstawiają właśnie czytelnikom plac św. Marka, jeden z najpiękniejszych placów publicznych Europy, t. zw. „Salon Włoch“. W jednym rogu tego placu obok bazyliki św. Marka, stała 40 metrów wysoka dzwonnica (campanella), licząca już tysiąc bez mała lat wieku.

Druga rycina przedstawia gruzy wieży, która waląc się, zniszczyła prawie zupełnie cudowną „Logiettę“, zbudowaną przez młodszego Sansovina, istne arcydzieło sztuki. Tę to Logiettę właśnie przedstawia trzecia nasza rycina.

Artyści włoscy zajęci są obecnie zagadnieniem, czy zwaloną dzwonnicę należy odbudować czy nie. Jedni głosują za odbudowaniem, inni są mu przeciwni, wychodząc z zasady, że nie należy profanować pamięci arcydzieła sztuki architektonicznej — choćby najbardziej udatnem, ale tylko naśladownictwem.

Przyczyny, jakie spowodowały zawalenie się wieży nie są znane dokładnie, wśród wielu hypotez istnieje i taka, że katastrofę spowodowało trzęsienie ziemi w Salonikach, które było tak rozległe, że dało się odczuć aż w Wenecji. Wiedeński architekt Wagner, przepowiada całej Wenecji zagładę. Jest to obawa przesadzona bezwątpienia, ale częściowe niebezpieczeństwo istnieje i zagraża niektórym starszym w świecie budowlom. W ostatnich dniach np. zauważono rysy na ścianach kościoła św. Szczepana; budownictwo miejskie zwróciło z tego powodu baczną uwagę na wszystkie wybitniejsze budowle miasta.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.